

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy“

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

28

— Zdarza się — odparł Gewolski — że dziedziczość występuje dopiero w trzecim pokoleniu! Czy nie mówiłaś mi, Leonio, że matka twoja była kobietą cichą i spokojną! A matka moja uchodziła za wzór doskonałości.

— Pocóż więc nam było wyzwać się z przestarzałych tradycji praojców, które czyniły życie ich nieznośną niewolą — zapytała dumnie księżna Sahadza.

— Czy my naprawdę możemy wiedzieć, jakimi byli ci nasi praojcowie?; bo i my również odziedziczyliśmy po nich pewne cechy, tak, jak nasz syn odziedziczył tę duszę naiwną i pełną iluzji, którą tak wyśmiewałeś! I proszę cię, Leonio, nie drwij więcej z tego chłopca! Czuję z dniem każdym coraz silniej — a to przecież może jest bardzo naiwne i śmieszne w twoich oczach — że obecność Stanisława przy mnie jest moją rękojmią szczęścia!

— Ależ ja tej rękojmi, tego „*porte-bonheur*“ nie miałam przy sobie, a jednak nie przeszkodziło mi to dojść do najwyższego szczybla potęgi, o jakiej nawet nie marzyłam!

— Skończmy już! — zawołał podrażniony Gewolski — i nie filozofujmy więcej. Tracimy tylko czas na próżno, a wiesz jak jest obecnie ograniczony! Powiedz mi, jak będziemy się mogli komunikować w Kiwani? bo sądzę, że będziesz jeszcze więcej otoczona, a właściwie szpiegowana niż w Neuilly!

— Rzeczywiście! — W tym przekętym kraju jest się ustawicznie omotanym w sieci intryg i zasadzek. A ja jestem głównym celem zazdrości tych ludzi! Gdyby wykryto nasze wspólnictwo, byłaby to wielka radość dla tych głupich Hindusów. Skorzystałby natychmiast, aby nas zgubić w oczach księcia. Będziemy więc naturalnie bardzo oddzieleni. Ja w pałacu zarządzam będąc służbą i czuwam nad zdrowiem księżniczki Kity — a ty, rezydować będziesz w starym pałacu, naprzeciw naszego. Słyszałam jak książę wydawał już w tym względzie rozporządzenie. Widzisz więc, że dozór nad tobą będzie bardzo ułatwiony. W pałacu tym książę urządzi ci laboratorium. Widywać się będziemy niekiedy w nocy, a właściwie rano, w chwilach kiedy będę wolniejsza. Oznajmi ci o tem podniesiona roleta na werandzie, gdzie znajdują się moje apartamenty. A światło dwóch kolorowych lampek elektrycznych wskaże ci, czy przyjść możesz. A gdyby przypadkiem, w ostatniej chwili zagrażało nam jakie niebezpieczeństwo — jedna z lampek zagaśnie! I w ten sposób ocaleni będziemy!

— Dobrze! — Ale błagam cię, poraz ostatni Leonio, idźmy dalej ręką w rękę aż do śmierci!

— Tak powinniśmy byli czynić od pierwszych chwil poznania — odparła księżna, patrząc czule w oczy kochanki — i uniknęlibyśmy tym sposobem tych przykrych walk dzisiejszych!

Gewolski miłośnie otoczył ramieniem kibić księżnej.

— Wszystko jest w rękach naszych, Leonio — szepnął namyślnie — pomyśl, jakie cudne życie czeka nas tam, pod tem niebem, stworzonym do rozkoszy i miłości!

Chwilę milczeli zatopieni w marzeniach o lepszej przyszłości. Po chwili księżna odezwała się swobodnie, tak jak za czasów ich pierwszej młodości.

— Daj mi papierosa, Mateusz!

Gewolski wyjął cygaretkę, włożył ją sam w usta kochanki i zapalił woskową zapalkę, którą następnie wrzucił do morza. Błdy płomień oświecił część pokładu i nagle Gewolski zadrżał tak silnie, że musiał się oprzeć o ramię księżnej. — Zwróciła na niego pytające spojrzenie, lecz już Gewolski ruchem ręki nakazywał jej milczenie i pociągnął ją silnie w tył, szepcząc do ucha, niedosłyszalnie prawie:

— Mów dalej głośno, tak, jak gdybym był przy tobie... Przekonasz się natychmiast, czy cofam się przed ostatecznymi środkami...

Opuścił ją w jednej chwili, a księżna pomimo silnego wzruszenia miała na tyle mocy, aby mówić do niego silnym, podniesionym głosem, o piękności Indyi, o bogactwie pałacu Kiwani i o przeróżnych zabawach i koncertach, jakie ma zamiar po przyjeździe urządzić!...

Ale nagle głos jej zamął w piersiach — doszedł ją odgłos walki — może upadek ciała na drugi

pomost. Pochyliła się drżąca, okryta śmiertelnym potem lęku i dojrzała dwa skłębione ciała tarzające się po deskach!... Dwóch ludzi starających się zaciekle udusić się wzajemnie!... Ale żaden z nich nie wydał z siebie okrzyku, czy jęku!... Chcieli walczyć bez świadków!

Jednakże Gewolski nie okazywał się silniejszym! Przeciwnik jego, silnem pchnięciem, odrzucił go na parapet pokładu, gdzie tenże pozostał kilka sekund bez ruchu, jakgdyby zemdlął!... Lecz powstał i rzucił się za uciekającym... Walka zawrzała na nowo!... Jeszcze straszniejsza, bo obydwaj walczący wisieli tuż nad przepaścią... Jakąż potężną wolę posiadała księżna Sahadza, aby na ten wstrząsający widok nie krzyknąć, nie zaalarmować służby okrętowej... Bo jeżeli człowiek, którego zdawała się rozpoznać, okaże się silniejszym od jej kochanki, w tej drugiej fazie walki i... Gewolski stanie się ofiarą fal, uderzających złowrogo o okręt — co wtedy stanie się z nią — księżną Sahadzą?

A skoro Gewolski nie wołał pomocy, skoro dołdaj majtkowie byli tak oddaleni, że nie wiedzieli o tragedii rozgrywającej się tutaj, trzeba było, aby wszystko odbyło się do końca w milczeniu.

Księżna Sahadza jednak postanowiła biedz kochankowi na pomoc. Zbiegła więc szybko po małych, krętych schodkach, narażając się sama na stracenie równowagi i skierowała się w stronę, skąd dobiegały ją odgłosy szamotań. Lecz gdy przybyła na miejsce walki, nie dojrzała nic, tylko w pewnej chwili rozległ się plusk donośny, jakgdyby upadek jakiegoś ciężaru do wody. Serce zamrło w nieszczęśliwej kobiecie. Czyżby obydwaj przeciwnicy stoczyli się w przepaść?

— Do mnie! do mnie! na pomoc! — zawołała księżna rozpaczliwie.

Równocześnie dobiegł ją przytłumiony głos Gewolskiego.

— Ratunku! Ratunku! Tonę!

Księżna odetchnęła. Nie słyszała drugiego głosu. A więc tamten musiał zginąć. Gewolski był doskonałym pływakiem. Jeżeli zdoła się utrzymać choć parę minut na powierzchni wody — będzie uratowany...

— Człowiek na morzu!

Ten krzyk alarmu natychmiast został powtórzony przez kilkanaście głosów. Pomoc zorganizowała się szybko, zanim ktoś z pasażerów mógł się dowiedzieć o wypadku.

Księżna Sahadza z podziwienia godną przytomnością umysłu podążyła do swojej kabiny, gdzie pobudziła swoje panny służące, pytając się wylekniona, co stało się na pokładzie.

Po chwili znowu wybiegła, zadając to samo pytanie majtkom i oficerowi służbowemu.

Ci nie wiedzieli jeszcze nic dokładnego. Oficer usłyszał rozpaczliwy okrzyk człowieka tonącego... człowiek ten musiał umieć pływać, bo widziano go na jasnej tafli morza, w oddaleniu kilku kroków. Natychmiast spuszczone szalupę i podążono nieszczęśliwemu z pomocą.

Gdy po chwili ukazał się na pokładzie książę Kiwani, pierwsze wrażenie niebezpieczeństwa już minęło. Tonący pochwycił linę, którą mu rzucono, następnie majtkowie wciągnęli go na szalupę, która płynęła ku okrętowi.

— Och!... zdaje mi się, że to... tak, tak, to doktor Gewolski — zawołał książę zdziwiony.

Dzień już świtał, zanim jeszcze szalupa podpiłyła pod pomost, wszyscy rozpoznali Gewolskiego.

— Ach! ci ludzie uczeni! — larzekał książę. — Oto do czego ich doprowadzić może ich roztargnienie.

Na rozkaz księcia przyniesiono ciepłe okrycia i flaszkę rumu. Gdy Gewolskiego wniesiono na pokład, książę otoczył go najczulszem staraniem, zapytując o powód wypadku.

— Wasza Wysokość — wyszeptał z trudem Gewolski, drżąc na całym ciecie.

— Oh! oh! — zawołał książę. — Widzę, kochany doktorze, że jeszcze nie całkiem odzyskałeś przytomność umysłu. Nie mów nic teraz! Dalej! niech zaniosą doktora do jego kabiny i niech doktor okrętowy każe mu zaaplikować gorące okłady dla rozgrzania! Byłeś tylko, kochany przyjacielu, nie nabawił się zapalenia płuc z tej przymusowej kąpieli! Ale niech ja cię jeszcze raz pochwycę na takich głupstwach! Zachciało ci się marzyć przy szumie fal, ale zapomniawszy, że życie twoje nie do ciebie należy już! I że zdrowie twoje jest najcenniejszą rzeczą, jaką posiadamy na okręcie!

Gewolski w duchu był zadowolony, że książę tak sobie tłumaczył ten jego wypadek, a że nikt z otoczenia nie zaoponował, więc najwidoczniej cały przebieg walki dwóch przeciwników zostanie na zawsze tajemnicą dla wszystkich.

Spojrzał na księżnę; spojrzeniem nakazała mu milczenie. A po chwili, gdy ułożono go już w łóżku i książę oddał się, aby uspokoić księżniczkę Kitę, Gewolski znalazł sposobność porozumienia się ze współniczką.

— Co się z „nim“ stało? — zapytał szeptem.

— Więc to był „on“ naprawdę?

— Czy mogłaś wątpić choć na chwilę?... Nie wiesz, co się z nim stało?

— Czy nie wpadł do morza razem z tobą?

— Nie wiem! Nie mogę sobie zdać sprawy z tego, co się stało. Sądziłem, że go popchnąłem do morza! Miał już głowę nad przepaścią, gdy uczułem się pochwyconym!... Byłem całkiem oszołomiony! Nie wiem, jak się to stać mogło!

— A może znajduje się jeszcze na okręcie?

— Nie śledziłeś jego ruchów?

— Stało się to w chwili, kiedy biegłam ci na ratunek!

— Ah! — szepnął Gewolski, któremu siły już powracały — co za szatan opiekuje się tym człowiekiem!

Chwilę patrzeli na siebie ze śmiertelnem przeżeniem. Już teraz zrodziła się w nich pewność, że wróg ich nie został pokonany.

— Przekleństwo! — wyrzekła księżna Sahadza z wściekłością w głosie. — Oto jak wypełniasz zawsze swoje obowiązki względem mnie! Oto twoje ostateczne, niezawodzące środki.

Lecz natychmiast zmienił się wyraz twarzy księżnej i nawet uśmiech zawitał na bladych jej wargach, gdyż ujrzała zbliżającego się Stanisława. Biegł on wylekniony i blady, czyniąc ojcu wyrzuty, że go zawezwał tak późno do siebie.

— Oh! ojcie! ojcie! — zawołał z wymówką — mówisz, że mnie kochasz, a nie pomyślałeś o mnie w pierwszej chwili, gdy odyskałeś przytomność. I nie mogłem ci nawet oddać starań należytych! Księciu i tobie, pani, zawdzięczam twoje ocalenie!

Mówiąc to, Stanisław zwrócił się do księżnej, której ręce gorąco ucałował. W tej chwili wszedł książę, zapytać o zdrowie chorego.

— No! no! Nie trzeba się tak przejmować, panie Stanisławie — rzekł serdecznie, opierając rękę na ramieniu młodego człowieka. — Niebezpieczeństwa niema, dzięki Bogu! Kąpiel w naszym indyjskim morzu nie może stać się szkodliwą, conajwyżej wywoła lekki katar! Ale na przyszłość, mój kochany przyjacielu, staraj się więcej dotrzymywać ojcu towarzystwa i nie dopuszczaj do podobnych roztargnień.

— Czuję się zawsze najszczęśliwszym — odparł Stanisław, patrząc z czułością na ojca — kiedy mogę być blisko niego.

Pochylił się i pocałował ojca w czoło; lecz gdy podniósł głowę, pochwycił spojrzenie jego utkwione w jego twarzy z wyrazem dziwnej nienawiści. — Spojrzenie to jednak złagodziło natychmiast, gdy Gewolski spotrzegł bladłość, występującą na twarzy syna.

— Jego syn! Jego szczęście!

Co za ironia losu! Jego syn ukochany, który przybierał teraz w oczach jego postać jakiegoś demona hypokryzji i fałszu, bo nie ulegało wątpliwości, że wiedział o całej intrydze prowadzonej przeciw ojcu i złączył się z tym wrogiem, który powstawał nagle niezwyoczony i dumny, w chwili, kiedy on sądził, iż zdołał go już pokonać na zawsze!... Ale czy Stanisław naprawdę wiedział o tem wszystkim? Czy naprawdę był współnikiem tego człowieka? I czy przyczynił się w czemkolwiek do pojawienia się Piotra Moreau w laboratorium Gewolskiego w Saint-Ouen? Oh! jakżeby Gewolski gorąco pragnął się o tem przekonać, bo dołdaj mógł tylko sądzić z pozorów, które ciężko obciążały Stanisława! Bo przecież widział syna swojego, rozmawiającego serdecznie z tym człowiekiem, tam, w domku malarza w Sannois, gdzie zabronił był się mu pokazywać! A może Piotr Moreau nie wtajemniczył jeszcze w tę smutną sprawę Stanisława? Może działał sam, na swoją rękę, lub przy pomocy tych Hindusów... tych fakirów... którzy zginęli gdzieś bez wieści, a mogli się znajdować ukryci na okręcie „Indiana“, gdzie mogli liczyć na opiekę i skrytą pomoc wszystkich swoich współziomków.

Otóż to ostatnie przypuszczenie zrodziło się nie tylko w umyśle Gewolskiego i księżny Sahadzy, tak samo myślało dwoje ludzi, którzy ostatni doowiedzieli się o wypadku nocnym, zaszłym na pokładzie. Wiliam Perkins i Johnnie byli wówczas tak uśpieni głęboko, że dopiero nazajutrz doowiedzieli się o tem — oni, którzy przekonani byli, że nic nie może ujść ich bystrej obserwacji. Tylko, że oni nie uwierzyli w przypadkowość tego wypadku i w roztargnienie doktora Gewolskiego.

Wiliam Perkins stanął przed Johnnim z namar